

Solidarni z OFE

16 września 2010

Czy ktoś jeszcze pamięta bajkę o zielonej wyspie nietkniętej przez globalny kryzys ekonomiczny? Albo mapę Europy z przyporządkowanymi każdemu krajowi wskaźnikami wzrostu gospodarczego, na tle której premier Donald Tusk i minister Jacek Rostowski triumfowali w blasku fleszów i telewizyjnych reflektorów? W tamtych zamierzchłych czasach optymizmowi premiera i jego ministra sekundowali dzielnie dziennikarze i „niezależni eksperci” reprezentujący interesy sektora finansowego. Polska miała być wyjątkowym krajem, który nie tylko nie da się zalać fali globalnego tsunami finansowego, ale jeszcze poserfuje na niej w górę. Dziś atmosfera zmieniła się radykalnie.

Jedno tylko zostało po staremu. Rządowe pomysły na uzdrowienie finansów publicznych i opanowanie rosnącej dynamiki wzrostu długu publicznego wpisują się w znane ramy neoliberalnej ortodoksji, która zaleca przerzucanie kosztów na pracowników najemnych i biedniejszą część społeczeństwa.

A przecież pomysł ratowania budżetu przez podwyżkę podatku VAT, która ma dać 5 mld złotych nie wytrzymuje konkurencji z prostym naprawieniem błędu, jakim była obniżka podatku dochodowego, którą najbogatszym Polakom zafundował „socjalny” PiS, a którą wprowadziła w życie PO. W wyniku tej decyzji budżet stracił ponad 8 mld złotych rocznie, a trzeba do tej sumy doliczyć np. koszty zniesienia podatku od darowizn, niższej składki rentowej czy obniżek podatków od zysków firm. Nawet taki rzecznik neoliberalizmu jak Stanisław Gomułka od niedawna wskazuje, że to właśnie bezmyślnym obniżkom podatków zawdzięczamy rosnącą dziurę budżetową [1].

Tymczasem rząd stara się tego nie zauważać i proponuje polską odmianę przewalającej się przez całą Europę kontrofensywy neoliberalnej realizowanej pod hasłem walki z deficytami i

dłużeniem publicznym przez zaciskanie pasa pracownikom.

Sztandarowym przykładem tej polityki są nieudane próby „uzdrowienia” systemu emerytalnego. Zważywszy na sumy, o które chodzi sprawa jest ważniejsza niż kwestia podwyżki VAT.

Dlaczego, mimo widocznej gołym okiem porażki, nie dało się odwołać prywatyzacji systemu emerytalnego nawet połączonymi siłami ministrów Jolanty Fedak i Rostowskiego? Dlaczego zachowano rozwiązania, które zmniejszą wysokość emerytur o jedną trzecią? Dlaczego zamiast zastosowania sprawdzonych na świecie rozwiązań, które przyszłym emerytom zapewnią godne życie, a budżetowi państwa poważne wsparcie zdecydowano się na pójdzie krok dalej na drodze obniżania świadczeń oraz finansjeryzacji systemu emerytalnego i, tym samym, jego potencjalnej destabilizacji? Na pewno nie za sprawą argumentacji wicepremiera Michała Boniego, która traci w konfrontacji z faktami. Przyczyny nie leżą w sferze racji, ale w sferze interesów.

Co roku OFE zasilane są gigantyczną sumą 22 mld złotych wyciąganych wprost z kieszeni 14 mln polskich pracowników, których ustawowo zmuszono do finansowania prywatnych firm. W ciągu 11 lat funkcjonowania nowego systemu prywatne fundusze zgromadziły 179,6 mld złotych nie robiąc zupełnie nic. Ta góra pieniędzy jest wystarczającym argumentem. Na tyle przekonującym, że funduszom emerytalnym nie zagroził nawet fakt, że w sferze inwestycji, która miała być prawdziwym *clou* ich działalności, OFE poniosły spektakularną klęskę tracąc w 2008 r. ponad 20 mld złotych, czyli cały zysk osiągnięty w ciągu 9 lat. Rząd nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji.

Wizja zysków ze spekulowania oszczędnościami pracowników okazała na tyle pociągająca, aby zwyciężyła koncepcja gaszenia pożaru strugami benzyny. Zamiast ograniczyć niebezpieczeństwo zawalenia się systemu w wyniku nieudanych spekulacji lub giełdowego krachu rząd chce pozwolić OFE na jeszcze więcej spekulacji i to zarówno w kraju jak i zagranicą. Jeśli pomysł

utworzenia agresywnych, czyli bardziej spekulacyjnych, subfunduszy do których popłyną pieniądze pracowników poniżej 55 roku życia zostanie zrealizowany, to uzależnienie wysokości i wypłaty emerytur od kaprysów rynków finansowych będzie znacznie większe niż obecnie.

A trzeba pamiętać, że i bez tego OFE mają wyniki gorsze niż publiczny ZUS. Skumulowana stopa zwrotu w OFE systematycznie spada od roku 2006, tymczasem w ZUS-ie systematycznie rośnie. W 2010 r. najlepszy OFE osiągnęły stopę zwrotu na poziomie od 37,2% do 46%, gdy tymczasem ZUS prawie 60%. Co więcej, za swe słabe wyniki OFE naliczają sobie pokaźne prowizje (w latach 1999-2009 wynosiły one 7%), czego ZUS nie robi. [2]

Wprawdzie niedawno OFE zostały zmuszone do zmniejszenia kosztów z 7 do 3,5%, ale w myśl nowych propozycji mają odzyskać utracone 3% w postaci nowej opłaty, tzw. solidarnościowej. Nazwa sama w sobie bardzo na czasie. Biorąc pod uwagę awanturę wokół obchodów 30 rocznicy powstania „Solidarności” i zachwyt niektórych mediów wystąpieniem Henryki Krzywonos wzywającej do narodowej zgody, możemy domniemywać, że najlepszym wcieleniem owej tak pożądanej zgody i solidarności na miarę naszych czasów stanie się właśnie opłata, którą przyszli emeryci solidaryzować się będą z prywatnym kapitałem zarabiającym na ich oszczędnościach.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](http://lemondediplomatique.pl)

PRZYPISY

[1]

<http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/297875,to-pis-wspolnie-z-platforma-zrobily-deficyt.html>

[2]

<http://www.money.pl/emerytury/wiadomosci/artikul/zus;lepszy;od;ofe;>

rzad;daje;funduszm;ostatnia;szanse,193,0,665025.html